

## Pierwsza Wieża Eiffla

*Ignacemu Szenfeldowi*

– Czy możecie sobie wyobrazić, że Wieża Eiffla uratowała mi życie?

Oczywiście. Dlaczego akurat Wieża Eiffla miałaaby nie uratować mu życia? Jechaliśmy pociągiem do Paryża. Ojciec nie przestawał opowiadać. Najchętniej o ludziach lub rzeczach, które uratowały życie, zwłaszcza jemu. Tym razem wybawcą była Wieża Eiffla.

Historie o ocaleniu zawsze zaczynały się od czegoś innego. Najczęściej nawiązywały do Syberii albo do podstawowych zasad życiowych.

– Słuchajcie – mówił – żeby sobie poradzić w życiu, trzeba przede wszystkim znać dwie zasady. Pierwsza to wiedzieć, że są zasady, których należy przestrzegać, i takie, które należy łamać. Druga: odróżniać, która jest która.

Pojął to dawno temu, jadąc przez Rosję w towarowym wagonie cuchnącym moczem i potem. W wagonie tłoczyli się przestępcy i zdemaskowani wrogowie ludu. Ojciec też zaliczał się do wrogów ludu.

Jakiego przestępstwa się dopuścił? Nie był w stanie udowodnić, że nie prowadził antysowieckiej działalności szpiegowskiej na zlecenie obcych i wrogich sił. Początkowo, wnosząc ręce do nieba, dyskutował z sędzią śledczym:

– Ależ proszę pana, jak można udowodnić brak działalności?

Odwołując się do zdrowego rozsądku, wyjaśniał śledczemu, iż nie jest również w stanie udowodnić, że nie był nigdy w Paryżu ani w Pipidówce. Sędzia wykazywał życzliwe zainteresowanie i ochoczo podchwycił temat Paryża. Uznał, że ojciec zbyt dużo wiedział o tym mieście jak na kogoś, kto nigdy tam nie był. Ojciec stwierdził, że nie należy odwoływać się do rozsądku sędziego śledczego. Po kolejnych rozmowach, które już nie przebiegały w życzliwej atmosferze, poszedł na ustępstwo: uznał, że brak dowodów na niewinność świadczy o jego winie. Był już zresztą gotów przyznać, że jest prezydentem Francji i królem Pipidówki. Zbyt słaby, aby przeczytać protokół zeznań, podpisał się pod nim zakrwawionymi palcami.

Nieco później, dygocząc z zimna w towarowym wagonie, ojciec starał się zebrać myśli. Wiedział, że do czegoś się przyznał, że coś podpisał i że dostał dziesięć lat gułagu. Ale kogo miał szpiegować? Gdzie, kiedy i po co? W końcu przestał roztrząsać szczegóły: zapewne było to na zlecenie jakichś wrogich sił. Pora zająć się teraźniejszością.

W wagonie było duszno i mroczno. Górne prycze zajęli zawodowi przestępcy, tak zwane urki. Niespiesznie, z licznymi postojami pociąg podążał na północ – przez szczeliny w podłodze przedzierał się coraz zimniejszy podmuch, ojciec prawie nie czuł stóp, ale nie odważał się podciągnąć nóg z obawy, że później nie zdoła ich wyprostować.

Nie odważył się domagać swojej racji żywnościowej. Widział, jak chłopak w płaszczu oficerskim – wbrew zasadzie, że przydziałem żywności zarządzają urki – zażądał swojej porcji. Wkrótce były oficer leżał bez płaszcza, skulony w kącie wagonu koło cuchnącego wiadra i wycierał krew z twarzy.

– Przykłady – mówił ojciec – pomagają poznać zasady. Jeśli nie wiesz, jak się zachować, obserwuj, co się dzieje wokół.

Ojciec wiedział, że lepiej nie rzucać się w oczy. Wzdrygnął się więc, kiedy wskazał nagle na niego czyjś palec z górnej pryczy. Był to palec Pietki, olbrzymiego chłopca z ogoloną, pokrytą bliznami głową. Pietka zabił trzy lub cztery osoby i dostał za to pięć lat. Niewiele. Można było dostać piętnaście za jedno niewłaściwe słowo. Łagodny wyrok wynikał z faktu, że Pietka i sędzia mieli coś wspólnego: obaj nie przywiązywali wagi do ludzkiego życia.

Z ojcem łączyła Pietkę tęsknota do dalekich stron. W drodze do obozu ojciec rozprawił o przeróżnych dziwactwach świata.

– Weźcie na przykład Paryż – tłumaczył. – Zbudowali tam żelazną wieżę, która sięga aż do nieba. Po jaką cholere? Dla samobójców! Jeśli Francuzowi znudzi się życie, wchodzi się na szczyt wieży, bierze głęboki wdech, skacze głową w dół i po wszystkim. Koniec, cześć, kropka.

Pietkę to wyraźnie rozbawiło, ale jego koledzy mieli zastrzeżenia. W Paryżu zapewne jest jakaś rzeka, w której można się wygodnie utopić. Po co komu wieża i wspinaczka?

– Rzeka jest, ale po rzece pływają statki z turystami, którym topielec by zawadzał – wyjaśnił Pietka. – A wspinaczka jest po to, żeby się koleś po drodze zastanowił. Francuzi zazwyczaj lubią tamać sobie głowę: co jest dobre, a co złe, jesteś za czymś czy przeciwko? Dekadencki naród! Więc taki burzuj lezie po stopniach – a są ich tysiące – lezie, lezie i się głowi: roztrzaskać się, bo splajtował, czy iść siedzieć? Czy kipnąć przez podłogę dziwkę, czy urznąć się na umór?

Wywód o dziwactwach francuskiej dekadencji nie wywołał zamierzonego efektu: nikt nie chciał w to uwierzyć. Lowka, który dorównywał Pietce siłą, bliznami i liczbą popełnionych morderstw, wbił w niego wzrok i puknął się w czoło. Pietka ściągnął brwi i wytrzymał jego spojrzenie, po czym rozejrzał się po wagonie i nagle wskazał palcem na ojca. Ojciec się wzdrygnął. Z wysokim czołem, mocnym nosem i grubymi okularami w bakelitowej oprawce różnił się od współpasażerów.

– Ty tam. Z lupami. Byłeś w Paryżu?

– Niejeden raz – odparł ojciec. – To jest zapisane w aktach sprawy.

– Wskakuj.

Ciesząc się, że może rozprostować kości, ojciec usadowił się na górnej pryczy i zamachał zwisającymi nogami. Teraz jechał pierwszą klasą.

– Powiedz temu durniowi – rozkazał Pietka – który zna tylko ciupę, kibel i dupę swojej starej, jak to jest z wieżą dla kandydatów do śmierci.

– I uważaj, żebyś sam nim nie został – zawołał ktoś z dołu.

Dopiero wtedy ojciec zauważył, że Lowka delikatnie gładzi się wskazującym palcem po gardle. I zrozumiał: kiedy dwóch bandytów się kłóci, trzymaj się z daleka. Niestety zrozumiał to zbyt późno.

W tym miejscu ojciec przerwał swoją opowieść i spojrzał na nas pytająco:

– Co może cię w takiej sytuacji uratować?

– Elokwencja albo trafna riposta – odpowiedziałyśmy chórem. (W historiach o ocaleniu pojawiały się przeważnie elokwencja albo trafna riposta).

– Chłopaki – zawołałem – dajcie mi zacząć od początku. Wieża Eiffla, musicie wiedzieć, sięga istotnie do samego nieba i wszystko w Paryżu przewyższa. Z jej szczytu widać całe miasto: pokryte srebrnym łupkiem dachy, przestronne mosty, rozległe bulwary, niezliczone latarnie, a jak okiem sięgnąć – bistra, szynki, winiarnie, knajpy. W knajpach – zamawiaj, czego dusza zapagnie! Kelner uwija się we fraku, kapela rżnie, wino się leje, kieliszki brzęczą, baby wirują i podskakując, podnoszą falbaniaste spódnice. Paryskie baby to nie takie chude, suche badyle. Mają tu i tam... – Ręką dokończył zdanie. – Jak postawisz szampana, wymachując ci nogami przed samym nosem. To akrobatki, lepsze niż w cyrku. Niektóre nie noszą nic pod...

– Tata sprytnie odwrócił uwagę bandytów od kłótni – przerwała mama.

Tak właśnie było. Ojciec przetrwał wielodniowy transport do łagru, nie cierpiąc głodu. Jego przedwojenne lektury dostarczały bogatego materiału, a publiczność nie była wymagająca. Kiedy uwaga i poziom kaszy w misce spadały, obniżał głos i poziom opowiadań. Najbardziej zasłuchany był Pietka: jedwabne pończoszki, sznurowane gorsety, różowe piórka, obcasiki, falbanki, desusy, dezabile, wywijasy – nie mógł się tym nacieszyć. Nim dotarli do obozu, całkowicie stracił głowę dla Paryżanek w koronkowych majteczkach.

W łagrach większość politycznych przydzielano do morderczej pracy w lesie, ale Pietka zadbał o to, aby ojciec dostał się do pralni. Było tam ciepło i w miarę bezpiecznie, wiadomym było bowiem, że ojca, choć Żyd, nie wolno bezkarnie utopić w kadzi. Tak Wieża Eiffla uratowała mu życie.

Trzydzieści lat później, jesienią 1969 roku, zbliżaliśmy się do jej rodzinnego miasta. Po miesiącach spędzonych na spakowanych skrzyniach w opróżnionym warszawskim mieszkaniu otrzymaliśmy francuską wizę wjazdową. Ojciec cieszył się, że będzie mógł osobiście podziękować Wieży Eiffla za ocalenie. Bez niej nie siedziałby teraz w wygodnym przedziale, lecz gnąłby gdzieś w syberyjskiej ziemi. Mama nie wyszłaby za niego za mąż i nie wyrwaliby się ze zsytki dzięki amnestii dla polskich obywateli, a co za tym idzie, nie byłoby mnie i mojej siostry. My również zawdzięczałyśmy życie Wieży Eiffla.

Abym pokonał strach przed nieznaną przyszłością i przekonać samego siebie o naszym szczęściu, ojciec wymieniał wszystkie jego powody: oczekuje nas miasto świąteł, luksusu i radości życia. Nie zapominajmy o wolności, równości, prawach człowieka, o winach, serach, kuchni, filozofach (Voltaire!), elegancji, winach (o tym już było), teatrach, muzeach... Krótko mówiąc: kraj kultury na najwyższym poziomie, gdzie nawet dozorca postępując się językiem arystokracji i wysokiej dyplomacji.

Ojciec doskonale znał się na francuskich obyczajach (w gułagu latami o nich opowiadał), ale aby dorównać arystokratom, dyplomatom i dozorcóm, postanowił przyswoić sobie ich język za pomocą *Rozmówek polsko-francuskich*. Spieszył się, więc pominął wstęp dotyczący zasad wymowy. Nabyty tuż przed wyjazdem w warszawskim antykwariacie podręcznik zawierał zwroty takie jak „kłaniam się waszmościu jak najuniżeniej” albo „ściele się do stóp waćpana dobrodzieja”, zatem raczej nadawał się do konwersacji z dyplomatai lub arystokratami niż do rozmowy z dozorcami. Wkrótce okazało się, że będziemy mieć do czynienia głównie z tymi ostatnimi. Ojca, który śmiało ignorował fonetyczne wskazówki, dziwiło, że tylu ludzi nie rozumiało własnego języka. Doszedł do wniosku, że w Paryżu dozorczy, podobnie jak kelnerzy i sprzedawcy, nie są Francuzami.

Gdy pociąg zbliżał się do stolicy, znów zaczął wymieniać zasady. Powinniśmy nie tylko mówić po francusku, lecz także jeść jak Francuzi, postępować jak Francuzi, zawsze zachowywać godność i łamać tylko te zasady, na które sami Francuzi nie zważają. *Savoir-vivre* to sztuka życia, której Francji zazdrości cały świat. Powinniśmy czuć się szczęśliwi!

Po raz pierwszy zetknęłam się z tym *savoir-vivre*’em w naszym półtorapokojowym mieszkaniu bez łazienki i kuchni. Położone było na pierwszym piętrze sześciopiętrowego budynku zbudowanego wokół wąskiego szybu. Na jego dnie stały śmietniki, ich zapach wpadał do nas przez okno zamiast światła. Toaleta – tak zwana turecka – była na półpiętrze. Tam też znajdował się prysznic: zbiornik z wodą zawieszony pod sufitem oraz drewniana kratka, którą opuszczano nad rurę odpływową toalety. Ponieważ nie było gdzie się rozebrać, wchodziłam tam owinięta ręcznikiem, który wieszano się przed drzwiami, co wymagało wychylenia się nago na zewnątrz. Kiedy moje nowe francuskie mydło wpadło przez drewnianą kratkę do odpływu, pocieszyłam się myślą, że nasza łazienka nie musi się obawiać zawiści całego świata.

Pobyt w bistro albo w paryskiej kawiarni figurował na szczycie listy życzeń ojca, jeszcze przed odwiedzeniem Wieży Eiffla. Często opisywał tę scenę w obozie: wczesnym wieczorem w szmerze wytwornego bulwaru siedzi pod pasiastą markizą przy okrągłym marmurowym stoliku. Podchodzi elegancki kelner, ojciec zamawia aperitif jak zwykły Francuz i wnet go z grzecznym ukłonem dostaje. (Alternatywnie: ta sama sceneria wczesnym rankiem, uśmiechnięta kelnerka, on także uśmiechnięty, zamawia jak zwykły Francuz *café crème* i *croissant*). I rzeczywiście: oświetleni zachodzącym słońcem siedzieliśmy pod markizą przy okrągłym marmurowym stoliku. Kelner podszedł, aby przyjąć zamówienie.

– Aperitif – powiedział ojciec jak normalny Francuz.

– Jaki? – spytał kelner.

– Dobry.

– Wszystkie są dobre, *monsieur*. – Kelner podał mu kartę napojów.

W paryskich scenariuszach ojca Francuzi pili aperitif, a nie jakieś Ricard, Martini, Dubonnet, Pernod... Rozczarowany, że nie dano mu skosztować swego francuskiego napoju, zamówił herbatę (*thé* było łatwe do wymówienia) i z wyraźnym niezadowoleniem popijał ją hałaśliwie z zadziwiająco małej filiżanki. Powołując się na głoszone nam zasady, zauważyłam, że nikt tutaj nie wydaje podobnych dźwięków.

– Na Syberii uprzejmość wymaga siorbania: tak sygnalizuje się gospodarzom, że herbata jest należycie gorąca.

– Jesteśmy we Francji!

– Wszędzie trzeba być uprzejmym.

Paryż jest niewątpliwie stolicą światła i luksusu, ale nie było to zauważalne w typowych toaletach. Znajdowały się one z reguły w słabo oświetlonym podziemiu kawiarni, a włącznika światła nie można było nigdzie znaleźć – ani na zewnątrz, ani wewnątrz pomieszczenia. Jakie zasady tu obowiązywały? Czy Francuzi siusiąją w ciemności, czy przy otwartych drzwiach? Czy należało przestrzegać tych zasad, czy może je łamać? Poszukiwanie przykładu poprzez obserwację innych nie wydawało się w tym przypadku wskazane. Zostawiałam drzwi uchylone, trzymając się kurczowo klamki, rozważając jak w takiej sytuacji zachować godność. Nachodziły mnie wątpliwości co do przewagi słynnego *savoir-vivre*'u. Pewnego dnia w podziemiu, gdzie telefon na monety przyciągał wiele osób, zamknęłam drzwi toalety. W całkowitej ciemności przekręciłam gałkę zasuwę i stwierdziłam, że w toaletach publicznych pełni ona funkcję włącznika światła.

Wieża Eiffła rzeczywiście przewyższa cały Paryż, aczkolwiek nietatwo ją znaleźć. Ojciec znał wprawdzie skróty z dala od szlaków turystycznych, ale droga do wieży zdawała się nie kończyć. Kiedy nareszcie do niej dotarliśmy, okazało się, że wieżę lepiej podziwiać z daleka.

– Z góry widać cały Paryż – zapewniał ojciec. – Widać, jak jest piękny: srebrne dachy, szerokie mosty, rozległe parki, bulwary, Łuk Triumfalny...

Nie chcieliśmy gramolić się na górę, żeby odkryć, jak pięknie jest tu na dole. Chcieliśmy wrócić do domu i paść na łóżko. Według ojca nasz dom był bardzo blisko. Rzut beretem. Zapewniał nas, że już, już, prawie dochodzimy. Obeszliśmy esplanadę, przemierzaliśmy place, ulice, uliczki, zaułki... Ojciec upierał się, że zna drogę – jesteśmy blisko domu, wystarczy jeszcze raz lub dwa skręcić. Skręcaliśmy w lewo, potem szliśmy prosto i znowu w lewo...

– Tutaj już byliśmy – powiedziała.

– Kręcimy się w kółko – stwierdziła mama.

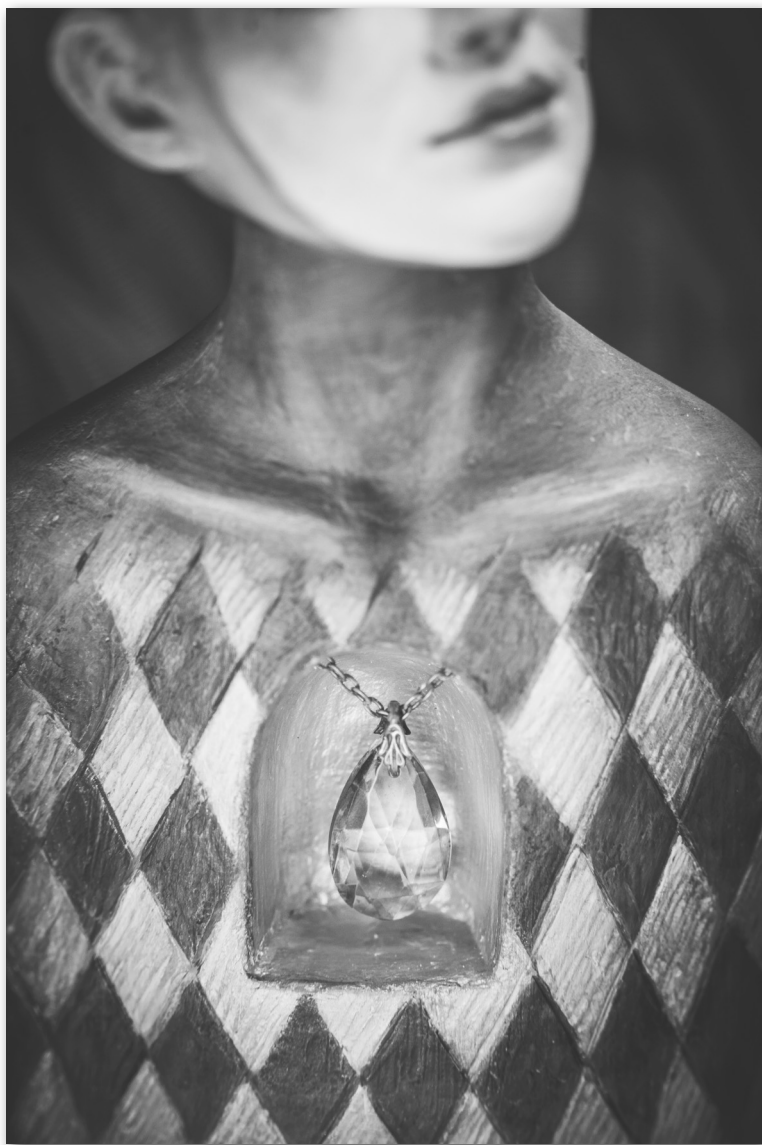
Uznała, że ojciec nie ma pojęcia o planie Paryża. Ojciec odparł, że trudnił się Paryżem przez całe życie i zna go jak własne miasto.

– Zupełnie się zgubiliśmy.

– Jeszcze parę kroków – zapewnił ojciec. – Nasz dom już tuż za rogiem.

Wyszliśmy za róg – i zamarliśmy. Ojciec pierwszy doszedł do siebie.

– Patrzcie! Toż to... – Podskoczył, rozkładając ręce. – Są dwie Wieże Eiffła!



Zdjęcie Monika Ekiert-Jezusek